

NA WIEŻY.

Powieść na tle życia paryskiego przez

Fortuné du Boisgobey.

Tłómaczył z języka francuskiego K. W.

6

Ciąg dalszy.

Ale bądź co bądź narażasz się bardzo i radzę ci po przyjacielsku, abys dał spokój temu nałogowemu uprawianiu erotyki. Tak, mój kochany chłopcze, czas już, abys poszedł w moje ślady, ożenił się i żył spokojnie w domowym ognisku. Pamiętasz Jacques, cośmy to dokazywali w Paryżu przed laty, gdy ja byłem jeszcze studentem uniwersytetu, a ty młodziuchnym oficerkiem? Hej, hej! — szumiało się — co? ale ja się zmieniłem, jestem żonaty, żonę kocham, o miłostkach zakazanych nie myślę i zawsze mam przed oczyma ten paragraf prawa, który orzeka, że za wiarołomstwo małżeńskie jest kara dwuletniego więzienia. Jakoś ci się nie poszczęściło tym razem, bo mogłeś być okupić tę schadzke na wieży drożej niż więzieniem, bo stryczkiem. Co za prawdziwe nieszczęście, żeby się znaleźć na schadzce na wieży, w takiej chwili, w której jakąś kobietę na dół strącają.

— A więc mnie nie podejrzewasz o to?

— Jakże nawet możesz przypuszczać coś podobnego? Znam cię tak dobrze, iż nawet na chwilę nie mógłbym wątpić w twój charakter. Do takiej zbrodni zdolnym nie jesteś. Nie będę cię nawet przesłuchiwał według formalistyki urzędowej, ot, siadaj — pomówimy z sobą po przyjacielsku.

Przyjaciół sędziego usiadł, ale widocznie nie zdołał się jeszcze uspokoić i znać było na jego twarzy ciągle zakłopotanie.

— Dobrze się stało, żeś nie podał swojego nazwiska w policyi, bo tym sposobem nikt się nie dowie, że Saint-Briac, rotmistrz kawalerii, spędził noc w aresztach policyjnych, razem z włóczęgami i złodziejami.

— A więc policyja nie dowie się od ciebie mojego nazwiska?

— Wcale nie. Nie jestem obowiązany zdawać jej sprawę z mojego postępowania i z moich zarządzeń. Mogę cię natychmiast uwolnić bez przesłuchania, bez spisywania protokołu, a nawet mam prawo zaprosić cię do siebie, byśmy razem wieczór spędzili.

— Dziękuję ci bardzo, ale dziś z gościnności twojej korzystać nie mogę.

— A to znówu dlaczego? Pomyśl tylko, jak moja żona będzie się doskonale bawiła, gdy jej opowiesz swoje przygody. Ale jakże się to stać mogło, że cię posadzono o morderstwo?

— Jestto dla mnie prawdziwą zagadką. Gdy schodziłem z wieży, zatrzymano mnie, uwięziono, zaprowadzono do szpitala i pokazano mi zwłoki nieznannej mi kobiety. Gdy z oburzeniem i zdumieniem domagałem się wyjaśnienia, czego właściwie odemnie żądają, odpowiedziano mi, że jestem posadzony o zrządzenie kobiety tej z wieży. Cóż miałem odpowiedzieć? Świadkiem katastrofy nie byłem, a nazwiska kobiety, która mi towarzyszyła, wymienić nie chciałem.

— Bardzo słusznie; ale przyznaj, że to dość dziki pomysł urządzać sobie schadzke na wieży.

— Moja towarzysząca tego sobie życzyła.

— Czy ta twoja erotyka jest dopiero na stopniu platoniczno-sentymentalnych schadzek, czy też przeszła już w stadium zażyłego stosunku?

— Ta pani nigdy nie była u mnie, ani ja też w jej domu nie doznałem niczego innego, prócz gościnnego przyjęcia, jakiego doznaje każdy inny gość, choćby najubożniejszy. Wczoraj dopiero po raz pierwszy mieliśmy schadzke, ale taką, jakaby mógł mieć brat ze siostrą.

— A jakżeście weszli na wieżę, nie spotkawszy strażnika?

— Drzwi kratowe zastaliśmy otwarte, więc weszliśmy pewnie przez nikogo nie spostrzeżeni. Zaledwieśmy poczęli wchodzić na wieżę, spostrzegłem wysoko nad nami dwie osoby: mężczyznę i kobietę. Oczywiście zatrzymaliśmy się w korytarzu, aby się z ową parą nie spotkać. Oni zapewne także unikali spotkania, bo dostrzegłem, że mężczyzna wsunął się przedko we framugę okna. Oczywiście nie troszczyliśmy się o nich, tylko zatrzymaliśmy się na korytarzu.

— A dlaczegoście razem nie zeszli?

— Wszystko się jakoś nie wiodło. Gdy moja przyjaciółka wyszła z domu, kupiła sobie po drodze niebieski welon, jakiego Angielki używać zwykły; jest to tkanina tak gęsta, że przez nią rysów twa-

rzy dopatrzyć się nie można. Pod tym welonem nawet własny mąż byłby jej nie poznał. Gdyśmy się na balkonie zatrzymali, moja towarzysząca podniosła welon, a że był słabo przypięty, więc go wiatr zerwał i uniósł.

— A, to nie miła przygoda dla mężatki — rzekł sędzia, śmiejąc się.

— Co było czynić? Bez welonu nie mogła już ze mną pokazać się publicznie, więc prędko się oddaliła, a ja zatrzymałem się na wieży kilkanaście minut. Gdy już schodziłem na dół, zatrzymano mnie, uwięziono i nastąpiło to, o czem ci wiadomo.

— No, teraz już rozumiem wszystko; gdy ciebie sprowadzono na dół, prawdziwy zbrodniarz ukrył się tymczasem w pierwszym lepszym zakręcie, a potem wyszedł spokojnie przez kościół. Sprawa jasna, ale bądź co bądź musisz mi w zaufaniu nazwisko tej kobiety wymienić.

— Tego uczynić nie mogę i raczej dam się powiesić.

— Ależ mój drogi, co innego policyja, co innego ja. Nie przemawiam do ciebie jako sędzia śledczy, tylko jako przyjaciel.

— Czy może wątpisz w prawdziwość tego, co ci powiedziałem?

— Wcale nie. Ale rozważ, że ja przecież ogromną przyjmuję odpowiedzialność, uwalniając cię od wszelkiego śledztwa. Poczucie obowiązku sędziowskiego domaga się, abym stanowczo wiedział, że ta kobieta, z którą byłeś na wieży, istotnie żyje.

— Jakżebyś mógł się o tem przekonać? musiałbyś ją zapewne wezwać urzędownie do siebie, żądać zeznania, a bodaj wyjaśnienia. Nie, to niemożliwe. Byłbym niegodziwcem, gdybym ją na to narażał.

— Ależ to wszystko co mówisz, jest zupełnie zbyteczne. Anibym nie chciał, ani nie potrzebowałem narażać kobiety na taką kompromitację. Wystarczy mi wiedzieć jej nazwisko i adres, a wtedy poprostu zajrzę do spisu ludności i przekonam się, czy żyje. To wszystko. Co najwięcej postarałbym się, aby zręczny agent policyjny wywiadał się, czy owa pani tego dnia, o tej godzinie wychodziła z domu.

— Mógłbym cię okłamać, gdybym był do tego zdolny; wymieniałbym ci pierwszą lepszą znajomą kobietę, aby cię uspokoić. Ale kłamać nie umiem i nie mogę, a prawdę ukrywać muszę.

— A czy ty wiesz mój drogi Jacques, że gdybym chciał, dowiedziałbym się prawdy i bez twoich wyznań? Gdybym polecił tajnej policyi, aby cię śledziła, miałbym wkrótce adres twojej towarzyszącej.

— Tego nie uczynisz — zawołał Saint-Briac blady, przerażony.

— Nie uczynię, bo cię kocham jak brata i niefam ci, jak się ufać powinno człowiekowi honorowemu. Chciałem ci tylko zwrócić uwagę, że takie erotyczne historie bywają niebezpieczne i często utaić się nie dadzą. Nie upieram się, ufam ci. W ciągu kilkunastu minut będziesz zupełnie uwolniony, a za to przyjdiesz do nas na obiad. Chciałbym, abys od mej żony nysłyszał surowe kazanie.

— Przecież nie będziesz jej o tem opowiadał?

— I owszem. Zabawi się twą przygodą doskonale i pomoże mi nakłonić cię do porzucenia erotycznych wypraw, a poszukania sobie pięknej, dobrej żony.

— Jednakowoż wolałbym, abys tę sprawę traktował jako tajemnicę urzędową.

— Gdybyś nie był moim przyjacielem, gdybyś nie był najmiłszym, najporządniejszym gościem naszego domu, toć rzeczywiście nie miałbym powodu opowiadać o tem Odecie i poniekąd mogłaby ta zabawna historia być urzędową tajemnicą. Ale nasze stosunki są tak braterskie, tak przyjacielskie, że w moim domu mogę śmiało o twojej przygodzie opowiedzieć żonie, przed którą nie niewam żadnych tajemnic, jak również i ona przedemną. Między nami jest taka szczerść, że niema drobiazgu nawet, o którymbyśmy sobie wzajemnie opowiadali.

Zdumienie ogarnęło dozorcę więzienia i straż policyjną, gdy sędzia wyszedł z uwięzionym pod rękę, kazał go wykreślić ze spisu aresztowanych i do bramy pałacu sprawiedliwości odprowadzwszy, najserdeczniej, po przyjacielsku go pożegnał.

Saint-Briac szedł zwolna, z głową spuszczoną. Nie okazywał zadowolenia, że go uwolniono; nawet przeciwnie: na twarzy miał jakiś smutek rozlany i niepokój. Uszedłszy kilkadziesiąt kroków, rozglądał się wokoło, żeby znaleźć dorożkę i pojechać do swojego mieszkania na Avenue d'Antin. Zatrzymał się chwilę i spostrzegł, że jakiś mę-

czyzna, prowadzący za rękę małego chłopca, bacznie mu się przypatruje. Rzucił bystro okiem na niego i zbliżając się nagle, rzekł:

— A, to pan! Czemuż mi się pan tak przypatruje? Zapewne to pana dziwi, że idę swobodnie, chociaż pan należałeś do tych, co mnie aresztować kazali.

— Mylisz się pan — odpowiedział Meriadec. — Zostałem wezwany przez sędziego śledczego na świadka i właśnie udaję się do pałacu sprawiedliwości, aby tam wyznać zupełnie szczerze, że pan stałeś się ofiarą nieporozumienia. Niewinność pańską stwierdziłem.

— Bardzo mi to przyjemnie, tembardziej, że sędzia śledczy powziął to samo przekonanie i dlatego najzupełniej mnie uwolnił.

— Niech Szasza powie, czy zna tego pana — rzekł Meriadec, zwracając się do chłopca i wskazując na Saint-Briac'a.

— Nie. Tego pana widzę po raz pierwszy, — odpowiedział chłopczyna.

— Byłem tego pewien — rzekł Meriadec.

— Nie byłbyś pan łaskaw wyjaśnić mi, co znaczy ta konfrontacja? — zapytał Saint-Briac z odczuciem szyderstwa.

— To było tylko stwierdzenie, że policyja dopuściła się wielkiego błędu i utrwalenie mego przekonania, że powinien na pańską korzyść jako świadek zeznawać.

— Uprzejmie dziękuję za te dobre chęci, ale sądzę, że niepotrzebnie pan będziesz się trudził do sądu, bo mnie zupełnie uwolniono. Byłbym bardzo wdzięczny, gdybyś się pan przestał zajmować moją osobą.

To rzekłszy, ukłonił się Saint-Briac od niechcenia i odszedł. Meriadec stał chwilę i rozmyślał, co dalej czynić. Po namyśle postanowił nie tylko złożyć w sądzie zeznania, ale też i na własną rękę śledzić zbrodniarza. Powziął tę myśl dlatego, że usposobienie pchało go do szukania różnych przygód, że walka z wszelką niegodziwością była po części jedynym jego zajęciem. Dodać do tego trzeba, że o zręczności policyi miał najgorsze wyobrażenie.

Była godzina druga, a wezwanie do sędziego śledczego opiewało na trzecią, więc Meriadec puścił się z chłopcem na przechadzkę. Sasza oświadczył, że w ubraniu ulicznika chodzić po mieście nie będzie i prosił gorąco swojego opiekuna, aby wsiedli do dorożki i szukali owego hotelu, w którym nocowali rodzice. Meriadec nie mógł tego uczynić, bo zamało było na to czasu, więc wytłómaczył chłopcu, że kupi mu ubranie, a potem z rodzicami się policzy. Chłopiec niechętnie przyjął tę propozycję i rzekł:

— Nie mogę przecież od pana przvimować podarunków, nie jesteś pan moim krewnym.

— Proszę być spokojnym, kochany panie Szasza, boć to przecież nie podarunek, tylko pożyczka, którą mi rodzice zwrócą.

To zachowanie się chłopca utwierdziło barona w przekonaniu, że pochodził z rodziny zamożnej, arystokratycznej. Nareszcie chłopiec dał się nakłonić i szedł bez oporn z swoim opiekunem. Ożywił się też cokolwiek i rozmawiał z baronem swobodnie. Opowiedział mu, że mieszkają koło Tuły, w majątku Weria, że matka jego nazywa się właściwie Xenia Konstantynowa, ale że jego właściwy ojciec już nie żyje, a matka ma drugiego męża, który nie jest ani hrabią, ani nawet szlachcicem.

— Pewnie tam bardzo wesoło w majątku rodziców? W Rosji jest ożywione życie towarzyskie.

— Dawniej tak bywało, ale teraz nikt u nas nie bywa.

— Rodzice dużo podróżują za granicą?

— Ojczym wciąż prawie za granicą przebywa, ale mama rzadko kiedy wyjeżdża, tylko wciąż zajmuje się zarządkiem dóbr.

— A gdzie to pan Szasza tak doskonale nauczył się po francusku.

— U nas prawie wszystkie dzieci w szlacheckich domach uczą się po francusku, a ja mogę więcej umiem od innych, bo ojczym z moją mamą tylko po francusku rozmawiali.

— A ojczym nie jest Rosjaninem?

— Ja nie wiem. Stary Mikołaj Trofimowicz raz się pogniwał na ojczyma i wygadywał brzydko, bardzo brzydko, a ja przypadkowo usłyszałem.

(Ciąg dalszy nastąpi).